



Rzeka bez powrotu
Krakatonga

Published: 2005

Categorie(s):

Tag(s): Marilyn absurd nonsens postmodernizm paradoks
transawangarda miłość samotność życie śmierć Polska miasto nowela
wiersz poezja proza

Part 1
Rzeka bez powrotu

Intro

W gęstwinie rachitycznych słów, w kruchym mirażu westchnień i świecie półprawd, w dziwnie znajomym portrecie wariata, znajduje się jasny kształt dnia. Kim była Marilyn? Czy tylko aktorem, poszukującym świętego spokoju w codziennym spektaklu zwykłych, szarych wojen? Gdyby tylko udało nam się przekroczyć próg normalności...

Bledną gwiazdy oczu, jak gaśnie czasem księżyc okryty płachtą chmur. Świat staje się zbieraniną bezładnych wspomnień, gestów, sentymentalnych westchnień i chwilowych uniesień.

A przecież to tylko głębsza odmiana snu.

Pierwsze spotkanie

Kres wieczornego oczekiwania. Mleczne refleksy gwiazd spijają krople deszczu z ust świata. By naprzeciw śmierci rzucić namiętność, by naprzeciw życiu rzucić rozpacz, by wraz z nadejściem ostatniego świtu pogrzebać w resztkach ciemności skuloną postać strachu.

Wrzesień mlaszcze kałużami deszczu. Grzyby parasoli wyskakują ku tafli szarego ognia. Wiatr szarpie włosy przechodniów.

Na drzewach

zdechają

kruki...

Marilyn zatrzymała się przed witryną sklepu mięsnego. W otłuszczonej szybie zobaczyła swoją brzydką twarz. Mięsisty nos, obwisłe wargi, wysokie czoło z lekka przykryte rzadką kępą siwych włosów... Jednym ruchem odgarnęła je z czoła i z uśmiechem puściła oko do odbicia w szybie. Dziś czuła się jak kobieta. Wreszcie jak kobieta.

Wszystko

Ciemność jest niewidocznym tańcem liści
na gładkim parapecie wiatru,
sennym westchnieniem betonowej dżungli,
wstęgą nieruchomych,
ciepłych ramion
w labiryncie prześcieradeł.

Bezmiar deszczu. Miliony srebrnych ust scałowują wiatr z parapetu.
Poczerniały szyby. Welon firanki rozpaczliwie łopocze pod sufitem.
Marilyn spoglądała na to wszystko bez nadmiernego entuzjazmu. Raczej
z dobrotliwą rezygnacją. Przestrzeń, tę pustą bańkę pomiędzy nią a skałą
szyb wypełniła jednostajnym, miarowym biciem serca.

Kamienne miasto

Krocę przez sen. Okryty płaszczem zwątpienia maluję swą największą impresję tęsknoty.

Kamienne miasto rozciąga się aż po kres horyzontu. Miasto umarłych bogów i upiorów miłości. Przemierzając ulice tworzę własną rekonstrukcję świata. Moje życie maluję wiatrem, paletą nocy i dźwiękiem samotności.

Światło jest pozorem rzeczywistości. Ten mleczny bąbel powietrza stanowi ledwie hologram sensu, zapowiedź walki, pół-przyczynek niepewności i bezruch czasu. Ciebie znów tu nie ma. A ja błędę po mieście tropiąc ślady naszych stóp.

Rzeka bez powrotu

Marilyn spojrzała w czarną czeluść okna. Świata za szybą nie było. Wiedziała, że nie była to zwyczajna noc i nie było to zwyczajne zniknięcie świata. Tym razem zapadł się ostatecznie. Gęsty mrok próbował wcisnąć się do pokoju Marilyn. Napierał na cienką tafłę szyby, aż w końcu zaczęła się wybrzuszać. Wiatr - niebezpieczny szaleniec - ciskał w okno garście deszczu.

- *Jeszcze chwila i mnie pokona* - pomyślała.

Szyba trzeszczała. Nagle żarówka - biała kropla życia - przygasła, rozbłysła i pękła, obsypując wszechświat okruchami słońca.

Noc wlała się do środka.

Proroctwo

Prorok, siwy starzec - szaleniec w połatanym płaszczu. Nauczał na przystanku tramwajowym przy skrzyżowaniu ruchliwych ulic. Wołał głosem pięknym, choć drżącym, do ludzi zebranych u jego stóp. Wpatrywali się w niego z podziwem i zrozumieniem. Wierzyli mu.

Marilyn spojrzała na starca. Potargana, siwa broda spływała mu na piersi jak mgła ze szczytów gór. Wysoki, postawny, ale ubrany niedbale, wręcz niechlujnie: brudny płaszcz, podarte buty, błoto zaschnięte na nogawkach spodni. Obok dwie plastikowe torby - reklamówki. Białe szyjki butelek wyglądające znad folii.

Prorok ukryty w pomarszczonym ciele starca wabił ludzi przepowiednią. Głos wzbijał się ponad czarne kikuty drzew.

Skończył.

Wziął plastikowe torby - reklamówki i dzwoniąc butelkami zniknął w tłumie.

Ludzie rozeszli się do domów, choć wiedzieli, że teraz to już nie ma sensu.

Muzyka

Wdycham ciężki zapach deszczu. Zawsze przychodzi nocą, pośród snopu gwiazd, w modlitwie wiatru. Krople deszczu, grube jak bąki opite kwiatowym nektarem wystukują na klawiszach parapetu dziwną melodię. Słyszę plusk ulicy, cichy akompaniament orkiestry asfaltu i samochodowych dachów. Kałuże, jak odłamki lustra, wychwytyują sygnały z gwiazd. Noc zaciera kontury rzeczywistości. I teraz widzę już dwa deszczowe nieba.

Gwiazdy świecą z góry i z dołu.

Niedokończona rozmowa

To dziś.

W słuchawce Jej głos
trochę zawstydzony, zdenerwowany.

Tyle lat.

Jakby wczoraj.

Przerwane połączenie.

Ściana czasu jak zimna stal zamkniętej klatki. Wszechogarniająca pustka. Wtem śmiech, jak kropla słońca spływająca korą samotnego drzewa, rozbija tafłę ciszy na miliardy okruchów nut. To stało się równie nieoczekiwanie jak za pierwszym razem. Impuls. Gorączka. Dziewczęca słabość. Tylko tyle, by powalić mężczyznę.

Dziwna chwila

W przepelnionej sali, pośród nikotynowych łodyżek rozmów, dusznych pretensji i pijanych smutkiem gestów, wśród jazzu banknotów i rozneglizowanych kieliszków, znalazła się dziewczynka w czerwonej czapeczce i sznurowanych, białych półbucikach.

Marilyn cisnęła w nią granitową popielniczką, wypełnioną po brzegi czerwonymi śladami ust na zgniecionych niedopałkach.

Wędrowiec

Wędrowiec usiadł na okazałym kamieniu. Poły płaszcza, jak dwa wytarte skrzydła, zamiotły drobiny pyłu. Płomyk zapałki na chwilę rozrzedził gęstwiny nocy. Niczym sygnalizator rozmyślań, papieros sennie jarzył się w ciemnościach. Wędrowiec rozejrzał się wokół siebie. Ledwie mającące w oddali kikuty drzew przypominały mu dawne, potężne bóstwa. Gałęzie ramion wskazywały nieznane szlaki. Mrok doskonale skrywał skarby tego miejsca, pozostawiając jedynie kilka starych, spróchniałych drzew na przynętę. Księżyc - ostry sierp w zbożu gwiazd - był zbyt słaby, by oświetlić okolicę. Gdzieś ponad konarami drzew przemknął skrzek ptaka...

Ucieczka

Usłyszałem ciężkie kroki na klatce schodowej. Zerwałem się od stołu, zsunąłem krzesło i wyskoczyłem przez okno. Rym-tym-tym. Na dole czekali już na mnie.

Dwie brzydkie kobiety przebrały mnie w garnitur i dokładnie zasznurowały buciki, które nieoczekiwanie zauważyłem na swoich stopach. Potem, chichocząc jak debilki, zaciągnęły suwak zamka błyskawicznego. Zapadła noc.

Ciemność wyrwała mi z rąk latarkę, tak więc resztę drogi przeszliśmy po omacku. Drzewa sennie kołysały ramionami. Gdy już miałem szczytować, ścieżką przegalopowała Ona. Rude, krótkie włosy, zielone oczy, eleganckie, modne okulary i bujne wąsy. Miłość mojego życia, Ofeilia młodzieńczych uniesień, idylliczna inkarnacja kota Filemona.

Wewnątrz było ciepło i przyjemnie. Połączył nas ten sam rytm, zapach zdjętych ubrań i splecionych dłoni. Tym razem udało się. Wypełniła się życiem i śmiercią.

Mi?o??

Błękitny obłok dymu tytoniowego wypełniał ciasną przestrzeń pomieszczenia. Marilyn przetarła oczy, napiła się rumu z kieliszka, wstała i powiedziała, wskazując palcem w sufit:

- *Miłość to ezoteryczny deszcz tęsknoty do zdrady.*

Usiadła i spojrzała na obtłuczoną popielniczkę, po brzegi wypełnioną zgniecionymi petami. Westchnęła ciężko i zapaliła następnego papierosa.

Bluzka

Marilyn obciągnęła bluzkę.

- *A jeśli małżeństwo jest sumą dwóch samotności, to czy intensyfikacja rozpaczki tym spowodowana nie przyczyni się do szaleństwa?* - zapytała, patrząc na nieznanego mężczyznę, który trzymając ją za rękę, próbował nałożyć obrączkę na jej palec.

Ksiądz zamarł ze zdziwienia w bezruchu. W kościele rozległ się cichy pomruk niedowierzania.

Marilyn odwróciła się do gości, parsknęła śmiechem, po czym - zamiatając się w zielonego kangura - w podskokach opuściła świątynię.

Wst?pienie

Siedziała nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Zaskakujące ile czasu można spędzić w ten sposób. Patrzyła jak faluje jej powierzchnia, jak zmienia strukturę - to marszcząc się, to wygładzając, to stając się wypukłą, to wklęsłą. Ściana żyła, oddychała. Marilyn słyszała, jak krew miarowo pulsuje pod tapetą, mozolnie torując sobie drogę w betonowych korytarzach. Powoli wstała, podeszła do ściany i wyciągnęła rękę. Dłoń z cichym pluskiem zanurzyła się w tafli betonu, pokrytego papierowym wzorem. Poczowała ciepło. Żadnej wilgoci. Tylko ciepło, niewyraźne, stłumione. Po powierzchni, z miejsca, gdzie wyrastała jej ręka, rozchodziły się kręgi. Pojawiały się, gdy ruszała dłonią. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Z wahaniem zrobiła jeszcze jeden krok i cała zniknęła w falującej głębinie.

Zmartwychwstanie

Marilyn spokojnie zmartwychwstała. Trochę z nudów, trochę z przekory.

- *Zwolnij moja droga* - powiedział do niej mężczyzna.

A ona z uśmiechem przerwała transformację i posłała mu całusa.

- *Jeśli stanę się bogiem, Ty zginiesz pierwszy.*

Starła z policzka ostatnią ciemną smugę śmierci (a deszcz rozpadał się na dobre, wiatr połamał gałęzie drzew).

Marilyn była już gotowa. W jednej chwili podniosły się głowy wszystkich obecnych.

Mężczyzna oszalał ze strachu.

?wi?ta

Marilyn od trzech godzin grzebała w śmieciach.

Do tej pory znalazła już prawie pół bochenka chleba.

W tym roku Święta będą wystawne.

S?abo??

Powietrze jak błysk gwiazdy. Podmuch przecina horyzont, szybując ku ostatecznemu spotkaniu.

- *Lęk przed samotnością niweczy w Tobie ostatnie drgania rozsądku* - Marilyn była bezlitosna. - *Głupia słabość zabiła w Tobie entuzjazm.*

Być może. Skąd u diabła miała wiedzieć?

Za brązowym szkłem faluje nieskończoność, niczym ocean gorącego piasku w rozrzedzonym powietrzu. Kiedyś tu już była, kiedyś już piła blask księżyca, tak jak spija się nektar z kwiatów. Pozostał jej w ustach słony smak łez.

Outro

Księżyc - odwrócona woda, zawieszona na gałęzi nocy - ścieka na mury kamiennych świątyń.

Marilyn podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę. Po podłodze rozlała się kałuża światła. Rozejrzała się niespokojnie.

Nikt jej nie śledził.

Uspokojona weszła do środka. Zamknęła drzwi i przekreśliła zapadkę zamka. Wreszcie była bezpieczna. Przez chwilę jeszcze nasłuchiwała, po czym podniosła wzrok.

W lustrze jej dłonie delikatnie przesuwały się po autostradzie brzucha, wyczuwając leciutkie kopnięcia.

Nareszcie nie była już sama.

Poznań 2002-2005

www.krakatonga.wordpress.com

From the same author on Feedbacks

Rozmowy Niewidzialne, cz. I (2001)

Pierwsza część Rozmów Niewidzialnych, tomiku wierszy, który powstał w 2001 roku - w czasach burzliwych przemian społecznych, ale także osobowościowych autora.

Złe obrazy - antywiersze o samotności, alkoholu i paranoi (2005)

Wybór antywierszy z lat 2002-2005. Paranoiczna wizja miasta, jako enklawy samotności i tęsknoty.



www.feedbooks.com
Food for the mind